Nr. 2 We Lwowie, 16 stycznia 1929 Rok 51




ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

**Wśród ciężkiej zimy pamiętajmy o naszej zwierzynie.** Obficie karmić, ścinać osiki, iwy, rozgartywać śnieg i wyścielać ze śniegu zwolnione miejsca gałęziami szpilkowemi lub słomą na legowiska dla sarn.

STEFAN OSTROWSKI

# W Noc Wigilijną

## (Legenda myśliwska)

Od ciemnego boru szum wielki idzie. Słychać zgiełk i rumor ogromny. Szumią dęby swemi nagiemi gałęźmi, szumią buki i jawory, — szumią sosny i świerki i jodły i modrzewie i cisy. I krzaki leszczyny i berberysu i nagie gałązki jagódek leśnych szepcą między sobą coś tajemniczego.

I nie dziwota. Boć to wielka noc, wigilijna noc, — noc podczas której wszelakie stworzenie Boskie mową włada, czy to roślinka, lub trawka nikła, czy krzew drobniuchny, czy drzewko lub drzewo jak największe, wspaniałe, — czy nieme stworzenie domowe, swojskie, łagodne, łaskawe, czy nawet dzikie, czy zwierzyna wszelaka — ma z łask Stwórcy swego tej uroczystej chwili mową władać i wyjątkową inteligencję i mądrość swą okazywać...

Na wielkim, rozległym ostępie leśnym, wśród mszarów i oparzelisk zebrali się wszyscy przedstawiciele fauny leśnej i polnej, a więc i żubr majestatyczny, brodaty i łoś rosochaty, niezdarny i niedźwiedź i smukły piękny chyżonogi jeleń i dziki i sarny, ryś, żbik, rosomak, świstak, kozice i kuny, lisy, borsuki i lasów tanecznica zwinna wiewióreczka i zając, kuropatwy i ptactwo wszelakie, — wszystko to zebrało się i radzi nad czemś, a radzi i debatuje w wielkiem skupieniu, a rozgwar ich mistycznego rozhoworu luty wiatr niesie w dal, a niesie...

I gwarzą ci przedstawiciele fauny leśnej i polnej i debatują nad tem, jak w tym podniosłym momencie cześć i chwałę oddać Odkupicielowi Świata, a ich Stwórcielowi. Boć oni nie chcą być gorsi od człowieka, którego inteligencja wszystko w tym kierunku uczyniła, aby godnie i jak najwspanialej uczcić tę wielką podniosłą chwilę Narodzenia Pańskiego. Na głos patrjarchy i przedstawiciela grubego zwierza niedźwiedzia i żubra — wszyscy się zebrali, aby uradzić jak uczcić te wielkie chwile i jak okazać Stwórcy Wszechświata i wszechrzeczy swą miłość i hołd Mu należny oddać...

Niedźwiedź gotowy z głębi leśnych mateczników co najprzedniejszego miodu słodziutkiego, leśnego, Stwórcy

dostarczyć. I każdy zwierz, jak może, przemyśliwa nad tem, jakby Panu Bogu miłość okazać — i nietylko zwierzęta i ptaki, lecz wszystkie źdźbła, trawki i krzaczki i krzewy, rośliny i drzewa i mchy leśne — wielbią Stwórcę każde na swój mistyczny, niepojęty dla ludzkiego umysłu, sposób.

Mijają lata, ludzka krwawa ręka kładnie kres egzystencji tylu stworzeń — zostają tylko niedobitki... Postęp, cywilizacja, kultura wszystko to broń straszna dla cichych i spokojnych mieszkańców dziewiczych leśnych ostoi i nietylko w noc lutą zawodzą gorzko nad swym strasznym losem ci starzy lasów i puszcz mieszkańcy, lecz same, ostępy dzikie nikną... bo kultura ludzka, cywilizacja — śmierć im niechybną niosą w darze...

Płaczą i nocami zawodzą tęskne buki i dęby i brzoza i jesion płaczące, stąd te nazwy łzawe, — i wyją ponuro w zimowe, lute jesienne noce. Upiory zda się i gnomy leśne szydzą i naigrawają się z ludzkiej tak zwanej „cywilizacji", która w tak podłym kierunku wyzyskuje swe zdobycze — cywilizacyjne...

I szumi las — i łka i smętkiem rzetelnym zawodzi — a mieszkańcy jego daremnie wśród ludzi szukają... prawdziwego człowieka co zdolny zrozumieć ich ból, ich wielki ból i boleść, — człowieka przyjaciela zwierząt...

Lecz niestety długie lata jeszcze upłyną i miasto poprawy bytu swego, jeszcze większe hekatomby krwawą daniną rokrocznie okup panu stworzenia płacić będą... Bo człowiek strasznym jest, bezlitosnym. I stary żubr brodaty i łoś graślawy i jeleń szybkonogi i wreszcie miś kudłacz poczęli pilnie gwarzyć między sobą i naradzać się nad tem, co uczynić.

Aż tu — od skraju lasu dochodzą słodkie tony wzniosłych melodji kolend płynące z pobliskiego kościółka... I płyną, płyną w głuchą dal leśną i poprzez bieluchne pola, słodkie pienia zwiastujące wielką radosną nowinę Narodzenia Stwórcy wszelakiego Stworzenia w ubożuchnej stajence...

Posłyszawszy głosy te, ozwie się żubr do misia: „Czy słyszysz te słodkie pienia k' nam płynące poprzez przestworza? Jak bardzo słodko mi na sercu. Czy zdajesz sobie sprawę co to za chwile dziś wielkie, wspaniałe przeżywamy? Wiesz-że o tem, że dziś narodził się nam Zbawiciel świata całego, Stwórca nas wszystkich, Uosobienie Miłości i Miłosierdzia, Mądrości i Cierpliwości i Dobroci i Łaskawości, — Ten, Który o każdem nawet najnikczemniejszem stworzeniu ma pieczę i pamięć i nigdy o niem nie zapomina, Którego nawet najmniejszy robaczek i każda roślinka i ryby i gady i płazy i wszystko zgoła, co jest na tym świecie wielbić i chwalić winno nad życie, bo Jemu jedynie byt swój zawdzięcza". — A na to miś odparł: „Prawdę mówisz, prawdę rzetelną kolego-żubrze, ale czemu to ten Pan stworzenia — człowiek — ten człowiek wybrany i stworzony na obraz i podobieństwo Boże — w zachłanności i pysze swej zaślepiony, — ten zły człowiek tak nas gnębi i morduje i tępi zapamiętale"! „Czemu właśnie dzisiejszego dnia i nocy, zasłaniając się jakoby jakąś tam — „tradycją" — (dzisiejszego minionego dnia właśnie rozmowę dwóch myśliwych przypadkowo podsłuchałem) — najwięcej nas i wogóle wszelką zwierzynę mordują?! — Czyby istotnie ta tak zwana „tradycja" rzekoma oznaczała zdwojoną pasję, zawziętość, zaciekłość posuniętą aż do gwałcenia uroczystej ciszy wigilijnego dnia i mordowania nas bezbronnych? Czemu tego dnia, gdy nawet nam niemym stworzeniom mówić do Boga jest danem, — człowiek kieruje k' nam swe zabójcze groty — godzi na życie nasze... Azaliż kultura i cywilizacja nato im jest dana? Czyż nawet tak wielkich uroczystości miasto modlić się i błagać Pana Zastępów o wszelkie powodzenie, zdrowie i pomysłowość w doczesnem życiu, człowiek musi zasłaniając się „tradycją" mordować krwawo?... To okropne".

I od ciemnego, majestatycznego boru od gęstwy leśnej powiał wiatr i mruk złowrogi; zakołysały się zarówno nagie gałęzie i konary drzew liściastych, jak i przecudne pióropusze strojne w okiść srebrzystą sosen, świerków, jodeł i modrzewi. Cały las zgodnie dzielił rozpacz swych mieszkańców...

A z oddali echo niosło słodkie, rzewne, zaziemskie melodje, płynące na falach eteru, melodje kolendy polskiej: „Chwała na wysokościach Bogu a na ziemi pokój ludziom d o b r e j w o l i".

MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

# Pies na rykowisku

W roku 1908 znalazłem się przypadkowo na liście gości proszonych na rykowisko do Skolego, baronów Groedlów i potem już do wybuchu wojny światowej, t. j. przez sześć lat danem mi było spędzać sezon rykowiskowy w gościnnych rewirach skolskich. Z bijącem sercem wyczekiwałem zawsze w sierpniu elektryzującej wiadomości, że jestem proszony na odstrzał jednego jelenia, podczas tegorocznego rykowiska!

Już wówczas Skole stanęło na czele prywatnych rewirów karpackich, co do kultury łowieckiej. Ochrona i opieka nad zwierzyną, doprowadzona do możliwych, jak na wysokogórskie stosunki, granic, spowodowała ogromne rozmnożenie się jeleni, których roczny odstrzał na rykowisku wynosił do 25 sztuk od 12-taka w górę.

Sześć rewirów po 10.000 morgów, stanowiło zwartą całość areału. Każdy rewir, zaopatrzony w wygodne koleby z kuchnią, piwniczką i ubikacją dla służby, poprzecinany starannie obmyślanym systemem ścieżek, które w wielu miejscach w ścianie kopane, albo nawet kute, umożliwiały podchodzenie i starszym, nieco cięższym już myśliwym.

Jako najmłodszy z proszonych gości, otrzymałem wówczas najwyższy i najtrudniejszy rewir, Libohorę.

Za towarzysza miałem wówczas bardzo sympatycznego wiedeńczyka, wysokiego urzędnika ministerstwa kolei z Wiednia p. Eisla, zapalonego i doskonałego myśliwego. Z nim i z ówczesnym leśniczym Libohory p. Krupką, spędziliśmy tam wysoko na „Bukowinkach“ cudowne dwa tygodnie, w zapomnieniu o troskach życia codziennego, jedynie tylko boleśnie odczuwając widoczną niełaskę św. Huberta: drugi tydzień naszego tam pobytu dobiegał końca, rykowisko się kończyło, a żaden z nas do strzału jeszcze nie doszedł — pomimo, że nie wracaliśmy prawie z podchodu bez widzenia jeleni, które jednak z nadmiernego gorąca i długiego już trwania rykowiska, przestawały się odzywać.

W tych warunkach nadszedł pamiętny dla mnie dzień 1 października, w którym rano mieliśmy odbyć nasze ostatnie podchody a w południe mieliśmy zejść do leśniczówki i odjechać.

Koło godziny pół do siódmej wracałem w dość przygnębionem usposobieniu ze starym mistrzem nad mistrzami Fedorem, nie usłyszawszy przez cały ranek ani mruknięcia — gdy wtem, gdzieś przed nami w parowie, odezwał się jeleń — tylko raz i krótko — ale bardzo wyraźnie i grubym basem! Fedor łapie mnie za kurtkę i z komendą: „teper trap“ pociąga mnie kłusem za sobą... Po przebiegnięciu kilkuset kroków ścieżką, Fedor momentalnie nieruchomieje i z szeptem na ustach: „win musyt tut deś buty“, lustruje orlim wzrokiem przeciwległą ścianę. „To win! Strylajte Pane!“, wypada z ust jego nerwowy szept — i rzeczywiście pokazuje mi na ścianie jelenia: idzie wolnym krokiem pod górę i w następnej chwili, musi się skryć w jodłowym gąszczu! — Ale w tej chwili Fedor zwrócony ku ścianie, wydobywa ze swej muszli krótkie stęknięcie i jeleń staje, jak wmurowany!

Ja siedzę już na ścieżce, aby wobec zadyszania i braku oparcia, strzelić z oparcia łokciami o obydwa kolana — ale maliniaki zasłaniają widok — więc zerwawszy się na nogi, badam przez sekundę lunetą schönauera wieńce a w następnej sekundzie strzelam rzeczywiście „z rozpaczy“: jeleń stoi do mnie wprost tyłem zwrócony! Po strzale jeleń podnosi zwróconą ku nam głowę wyżej i w tej chwili strzelam drugi raz, mierząc już nad czoło.

„O! zwynuł sia na miscu!“ były słowa pocieszenia Fedora. — Po długiej chwili widzę między maliniakami poruszające się wieńce, po których miarkuję, że jeleń wolno noga za nogą, zchodzi w dół.

A gdy na następne 3 strzały jeleń nie reaguje i swego wolnego kroku nie zmienia — otucha wchodzi we mnie! Kombinujemy z Fedorem, że jeleń ciężko ranny zeszedł do potoku.

Obserwujemy więc na przeciwległej zboczy różne znaki, aby znaleść miejsce strzału i wracamy do koleby, skąd posyłamy posłańca do leśniczówki do Libohory po młodego bawarskiego, górskiego tropowca, który już ułożony sprowadzony został przez zarząd dóbr z ks. Koburg-Gotha i pierwszy raz miał być dzisiaj „próbowany“ na tropie.

Koło godziny 1-szej przyszedł pies: niewielki, czerwony, z czarną maską, ciężki, poważny z fałdami skóry na czole: typowy i bardzo rasowy tropowiec. Odnalezienie miejsca strzału, gdzie stał jeleń, trwało prawie godzinę. Fedor stał na miejscu, z którego strzelałem i chustką dawał nam znaki, w którym kierunku mamy na przeciwległej ścianie postępować; wkońcu dał znak, żeby stać, sam dostał się do nas i niedaleko znaleźliśmy pod bukiem rzeczywiście ogromną kałużę farby. Pies, którego imię wypadło mi z pamięci, włożył się w tej chwili, jak koń pociągowy w rzemień i prawie kłusem sprowadził nas do potoku. Tu się jednak sytuacja zmieniła: Początkowo obfite strugi farby, przeszły powoli w pojedyńcze krople, które na kamieniach pod wpływem gorących promieni słońca zaschły już tak kompletnie, że skrobane paznogciem rozpryskiwały się!

Potok rozlewał się coraz szerzej między kamieniami, a trop przechodził co parę kroków przez wodę, to w jedną, to w drugą stronę. Kilkakrotne maczanie się w wodzie nie podobało się widocznie poważnemu bawarczykowi; zrezygnował więc z przechodzenia przez wodę i prowadził nas prawym brzegiem z nosem na tropie; tylko o ile trop przechodził na lewy brzeg, to szedł dalej (prawym brzegiem) z głową wyciągniętą wgórę nad wodę i wystawiał nam jak wyżeł kuropatwę, każdą kroplę na tamtym brzegu. Ponieważ farby było coraz mniej i nie byliśmy pewni psa, więc przy każdorazowej „stójce“ ktoś z nas przechodził przez płytką zresztą wodę, odnajdywał na kamieniach pojedyńczą kroplę i dopiero ruszaliśmy dalej.

Tak uszliśmy z 3 do 4 km, wązki początkowo parów „Daszkowca“ rozszerzał się znacznie, potok rozlewał po nim przeźroczystą płytką wodę na szerokości 10 do 15 kroków, ale i na tę odległość wystawiał nam ten pies w dalszym ciągu bardzo już rzadkie, pojedyńcze zaschnięte krople.

W końcu rozlany szeroko potok, zaczął porastać łozami, a gdyśmy się zbliżyli do nich, usłyszeliśmy łomot gałęzi i plusk wody; kazałem psa spuścić i po chwili jego głuchy ciężki urywany bas zakłócił majestatyczną ciszę gór.

Z odbezpieczonym schönauerem wskoczyłem w łozy i oczom moim przedstawił się widok, godny pierwszorzędnego pendzla lub najlepszego objektywu, a znany myśliwym przeważnie tylko z obrazków: W wodzie siedział jeleń na zadzie, oparty, jak pies na przednich badylach, a rogami odpędzał od siebie psa, który w pełnej zresztą respektu odległości, z wciągnietym między nogi ogonem, skakał naokoło jelenia uważnie z kamienia na kamień i atakował go swym basem!

Jak żałuję, że wówczas nie władałem jeszcze aparatem fotograficznym! Kula sześciomilimetrowa z ołowianym końcem (szpicem), weszła nad nasadę ogona bez naruszenia kręgosłupa i ugrzęzła w klatce piersiowej.

Był to wstecznik, bardzo gruby i piękny dziesiątak,

Bez tej roboty psa, zdobycie tego wieńca chociaż mego pierwszego, połączone by było z pewnego rodzaju „katzenjamerem" myśliwskim: właściwie nieprawidłowy tylko przypadkiem dany strzał rzeczywiście tak zwany „z rozpaczy" bez emocji podchodu.

Psu temu zawdzięczam nietylko zdobycie mego pierwszego wieńca, ale i wspomnienie takich przeżyć myśliwskich, o jakich wielu myśliwych marzy, ale mało tylko je przeżywa.

Obecny zarząd dóbr skolskich, pomimo, że ilość jeleni dochodzi już prawie do przedwojennego stanu, nie uznał jeszcze niestety za stosowne, sprowadzenia i utrzymywania tropowców.



JERZY PODOSKI

# Ostrość wzroku a celne strzelanie

Wśród wielu osób istnieje mocno ugruntowane przekonanie, iż dobrzy strzelcy odznaczają się zawsze nadzwyczajnym wzrokiem, nie potrzebują stosowania jakichkolwiek szkieł, wreszcie, że można rozpoznać u nich doskonałość wzroku dzięki pewnym odznakom zewnętrznym — kształt oka, jego barwa i rodzaj oprawy.

Tymczasem fakta, przykłady z życia i większość doświadczeń przeprowadzonych w tym kierunku zaprzeczają w znacznym stopniu tej teorji. Cały szereg najlepszych strzelców, o sławie światowej, i to nietylko zawodników, ale również myśliwych, odznacza się wzrokiem słabym, należy do krótkowidzów, strzela przy pomocy szkieł, wreszcie znamy wypadki, kiedy strzelcy znani na forum międzynarodowem (ostatnio Morris Fischer) zostali przekonani, mocno wbrew własnej woli przez okulistę, iż potrzebują szkieł do strzelania, gdyż szkła powiększają wydatnie ich sprawność.

Musimy jednak ustalić pewne pojęcia odnośnie t. zw. dobroci wzroku. Rozróżniamy wzroki normalne, oczy krótkowzroczne, dalekowidzów, wreszcie oczy posiadające pewne zasadnicze braki organiczne, najbardziej pospolitem z których jest niezborność. Te ostatnie wady dają się zawsze zmniejszyć do pewnego stopnia przy pomocy odpowiednio dobranych szkieł, jednakże w większości wypadków oczy cierpiące na niezborność nie mogą konkurować z oczyma normalnemi w strzelaniu.

Natomiast kwestja możliwości oczu krótkowzrocznych nabiera nadzwyczaj ciekawego oświetlenia, jeżeli rozejrzymy się w miarodajnych obecnie teorjach okulistów wojskowych i w pewnych doświadczeniach przeprowadzonych ostatnio w Ameryce.

Formułka, przyjęta przez okulistów-strzelców, opiera się na następujących dwuch twierdzeniach:

1-o oko ludzkie nie posiada możliwości całkowitej akomodacji, a wiec nie może widzieć jednakowo ostro przyrządów celowniczych, odległych o 30 cm i 100 cm, oraz tarczy, położonej na odległości przynajmniej 50-ciu metrów.

2-o Z dwojga złego, lepiej jest widzieć zupełnie ostro i jasno przyrządy celownicze, zwłaszcza muszkę, a mniej wyraźnie — w zamgleniu — tarczę lub cel.

Skutkiem tego, strzelcy krótkowzroczni, nawet bez pomocy odpowiednich szkieł, nie są znów tak bardzo upośledzeni w porównaniu do wzroków normalnych, ponieważ te ostatnie, przy koncentracji na muszkę, widzą cel nie wiele lepiej od pierwszych, i, można twierdzić, iż strzelec krótkowzroczny może strzelać dobrze, jeśli tylko jest zdolny do rozpoznania danego celu.

Przed kilkoma laty Służba Zdrowia Armji Stanów Zjednoczonych przeprowadziła następujące doświadczenie:

wybrano w pewnym pułku 10-ciu strzelców wyborowych, zmierzono dokładnie ostrość ich wzroku, która wynosiła, bez pomocy szkieł, między 20—15 a 20—20... (wzroki zupełnie normalne).

Następnie zaopatrzono każdego w dwie pary okularów, z których pierwsza zmniejszała ostrość wzroku do 20—40, druga zaś: 20—70 (wybitnie krótkowzroczni). Oczywiście, ta utrata siły wzroku tyczyła się widzenia przedmiotów dalekich (tarcza), a pozostawiała nietkniętą zdolność rozpoznania przedmiotów bliskich (przyrządy celownicze).

Po tych czynnościach wstępnych każdy ze strzelców odbył następujący program strzelań:

1-o 5 strzałów bez okularów na 200 m
„ „ „ „ 300 m
„ „ „ „ 600 m
„ „ „ „ 800 m
„ „ „ „ 1000 m

2-o tak samo jak powyżej, jednak ze szkłami 20—40.

3-o jak powyżej — ze szkłami 20—70.

Strzelanie odbywało się w możliwie najdogodniejszych warunkach, w postawie dowolnej i z dowolną ilością strzałów próbnych. Używano tarczy 5-cio pierścieniowej, skąd maximum punktów serji z 5-ciu strzałów wynosi 25. Tabela wyników przedstawia się następująco:

| NAZWISKO | Metrów 200 | | | Metrów 300 | | | Metrów 600 | | | Metrów 800 | | | Metrów 1000 | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | Bez szkieł | 20/40 | 20/70 | Bez szkieł | 20/40 | 20/70 | Bez szkieł | 20/40 | 20/70 | Bez szkieł | 20/40 | 20/70 | Bez szkieł | 20/40 | 20/70 |
| A . . . . | 15 | 21 | 23 | 17 | 17 | 13 | 16 | 18 | 16 | 18 | 17 | 17 | 8 | 5 | 8 |
| B . . . . | 21 | 20 | 20 | 18 | 19 | 19 | 16 | 18 | 19 | 20 | 16 | 9 | 19 | 13 | 16 |
| C . . . . | 19 | 18 | 18 | 17 | 13 | 19 | 12 | 12 | 12 | 19 | 15 | 16 | 11 | 10 | 15 |
| D . . . . | 19 | 17 | 15 | 19 | 18 | 21 | 17 | 10 | 7 | 15 | 15 | 22 | 6 | 8 | 11 |
| E . . . . | 22 | 18 | 23 | 21 | 20 | 17 | 22 | 18 | 12 | 18 | 7 | 9 | 13 | 10 | 8 |
| F . . . . | 20 | 18 | 20 | 20 | 21 | 15 | 22 | 16 | 17 | 16 | 6 | 15 | 17 | 23 | 22 |
| G . . . . | 20 | 21 | 20 | 20 | 18 | 20 | 21 | 20 | 18 | 20 | 19 | 15 | 12 | 14 | 13 |
| H . . . . | 16 | 18 | 17 | 20 | 22 | 19 | 10 | 14 | 12 | 19 | 21 | 17 | 15 | 11 | 20 |
| I . . . . . | 14 | 18 | 19 | 16 | 22 | 23 | 10 | 11 | 9 | 11 | 19 | 20 | 15 | 17 | 12 |
| J . . . . . | 20 | 21 | 22 | 23 | 17 | 22 | 14 | 21 | 14 | 19 | 16 | 18 | 16 | 8 | 20 |
| **Przeciętna** | **18,6** | **19,0** | **19,7** | **19,1** | **17,7** | **18,8** | **16,6** | **15,8** | **12,3** | **17,5** | **15,1** | **15,8** | **13,2** | **11,9** | **14,5** |

Jak widzimy, przeciętny wynik bez okularów wynosi 7,4 punktów, z okularami 16,0.

Biorąc pod uwagę powyższą tabelę i pamiętając o tem, że przy wzroku 20—40 i 20—70 na większe odległości cel musiał być bardzo silnie zamglonym, musimy bezwzględnie dojść do przekonania, że ostre widzenie celu nie jest koniecznem dla dobrego strzelania.

Ilość strzałów i warunki przeprowadzenia próby wykluczają możliwość przypadków, nie jest bowiem rzeczą do pomyślenia, aby np. strzelec „F“ uzyskał na 1000 metrów wyniki wysokości 23 i 22 punktów na drodze jakiegoś przypadku.

Stwierdzono zresztą dokładnie dzięki badaniu każdego ze strzelców, że wszyscy postępowali według jednej metody, to jest koncentrowali ostro swoją uwagę na muszce i utrzymali ją raczej instynktownie w środku zamglonego celu w chwili strzału.

Dochodzimy więc do wniosku, że w strzelaniu do tarczy krótkowzroczność nie jest poważną przeszkodą.

Jednakże należy tu odróżnić ściśle normalną ostrość wzroku od w y r o b i e n i a z d o l n o ś c i s p o s t r z e g a w c z e j.

Oko bowiem, ze wszystkiemi swemi właściwościami, jest tylko biernym przyrządem, mającym na celu przyjęcie i przykazanie do mózgu pewnych „Faktów świetlnych“, całe zaś zadanie szybkiego i dokładnego zrozumienia i wykorzystania danych otrzymanych jest zadaniem tych komórek mózgowych, które „referują“ zmysł wzroku. I tu istnieje możliwość największego wyrobienia i przeprowadzenia gruntownych zmian. Oko człowieka pół-dzikiego, żyjącego z łowiectwa w dżungli lub na pustyni, może bynajmniej nie być lepszem — jako bierny instrument — od oka pracownika umysłowego w mieście, natomiast jego zdolności spostrzegawcze — umiejętość zapamiętania każdego szczegółu, zrozumienia go i wyciągnięcia odpowiednich wniosków jest zupełnie inną i wielokrotnie większą.

Spostrzegawczość jest więc wykorzystaniem wzroku, jego uzupełnieniem i poprawieniem, wymaga ona ciągłego ćwiczenia i przyzwyczajenia do warunków pracy. Powracając do poprzedniego przykładu, jest rzeczą jasną, że myśliwy stepowy, przywykły do wypatrywania celów nadzwyczaj dalekich w otwartym terenie nie jest przygotowanym do polowania w gęstej dżungli lub podczas nocy, tak samo obserwator morski, pomimo świetnego wzroku i doskonałej zdolności spostrzegania na morzu, nie będzie umiał wyciągnąć wniosków z drobnych szczegółów, które mu dostarczy wzrok w stepie.

Stąd również wypływa, że człowiek o wzroku gorszym może być o wiele sprawniejszym w strzelaniu i myśliwskiem i tarczowem, od strzelca o wzroku normalnym, ale bez wprawy polowej.

Jeżeli teraz powrócimy do sprawy udoskonalenia samego wzroku przy pomocy środków fizycznych, musimy stwierdzić, że każdy strzelec, nawet mając doskonałe wyniki, winien zbadać — i to przy pomocy bardzo dobrego okulisty, — o ile możności strzelca — czy wzrok nie słabnie i nie mógłby zostać polepszonym za pomocą okularów odpowiednio dobranych, z drugiej jednak strony, należy zwrócić możliwie największą uwagę na kwestję spostrzegawczości i jej wyrobienia, gdyż stanowi ona czynnik niemniej ważny od naturalnej dobroci oka przy ogólnej sprawności strzelca i myśliwego.



A. KIEŁCZEWSKI

# Na rysia

Zawiadomienie opiewało: Polowanie zbiorowe Poleskiego Tow. Myśliwskiego w dniu 28, 29 i 30 grudnia 1928 r. Puszczy Kosowskiej i Wiado-Tupickiej.

Szybka decyzja i powolna jazda przez Brześć ku Baranowiczom, przyjazd około południa do stacji Iwanowicze i wprost do puszczy.

Ranek 29 grudnia zastał już nas w Wia-Tupickiej puszczy o 30 km od naszego locum, w projekcie łowy specjalnie na wilki — rysie.

Zachodząc na pierwsze stanowiska, widzimy świeży wchodni trop w ostęp brany pojedyńczego dużego rysia. Los przeznaczył mi Nr. 7 niedaleko wchodniego tropu, przedemną puszcza zawalona, ośnieżona, szemrzące wysokie jodły i świerki, gdzieniegdzie bagna porośnięte olszyną dawały możność puszczenia wzroku wdal. Jak w wielkiej świątyni wielbić należy wieczystą moc puszczy, spokój i powagę w zamarciu zimowem.

Gdzieś daleko tę ciszę przerwała trąbka i wnet za tem

odgłos idących w ostępie ludzi. Obudziła się jakby puszcza ze snu zimowego, a poszum boru wtórował tym odgłosom. Gdzieś pies jeden — drugi w ostępie zaszczekał i znowu cisza nastała.

Stoję nieruchomo, a sztuciec drży w naprężonych od nerwów rękach. Wtem coś w dali poruszyło się, zwierz jakiś mignął płowy duży! Wilk, a może ryś!

Za chwilę znowu się pokazał, teraz omyłki wzrok mieć już nie może, to ryś idzie ku mnie na sztych!

Odległość się zmniejsza, broń ku oku idzie, chybić nie można, nerwy muszą być opanowane i na strzał bliski ryś ten przyjść musi. Idzie truchtem coraz bliżej, wreszcie odległość kroków może trzydzieści, skok jeden, drugi w bok poprzez zawały i padł strzał. W ogniu legł ten królewski zwierz a żegnała go poszumem puszcza, wśród której tu wyrósł!

Cudne zaiste te bory, ze spiżu wykuł tu sobie pomnik tworzyciel tych łowów, ten który ukochał je, otoczył opieką i starannością, a jest nim wielki myśliwy i znawca łowiectwa prezes p. Stanisław Lilpop. On był twórzycielem i tym, który zespolił Poleskie Tow. Myśliwskie, on je prowadzi ku chwale łowieckiej, boć od czasu 10-letniego istnienia Towarzystwa 14 rysi ubitych, dwadzieścia kilka wilków i setki dzików, to są cyfry, które mówią za siebie!

Cześć Ci wielki tworzycielu łowiectwa w puszczach Poleskich.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

# W pustyniach Turkiestanu 1902 r.

### (Z życia Azjaty)

Ciąg dalszy

Idąc za praktycznym przykładem wielkomiejskich, niedzielnych nemrodów, powracających z wesołych zamiejskich polowanek z uprzednio kupioną w miejskich straganach zwierzyną do domu, kupiłem w przejeździe przez Gurnab, kilka par pięknych rogów baranich i koźlich, nie przewidując na razie, jak się będę za nie rumienił i ile sprawią mi zakłopotania.

### W drodze do Merwu

O ile mój Kerbelaj okazał się nieudolnym w mych górskich polowaniach, o tyle był mi pożytecznym w dalszych stepowych wyprawach. Znał on stepy i dżungle i żyjącego w nich zwierza, znał jego życie i zwyczaje, umiał go znaleść, podejść i napędzić.

Zaledwie opuściliśmy Kopet-Dag i jego podgórze, gdy o wczesnym, pięknym poranku, ujrzeliśmy stadko dżejranów (antilope subgutturva) pasących się na wzgórzu. Teren falisty sprzyjał nam w podejściu pięknych zwierząt. Po długiem podchodzeniu, czołganiu się i godzinnem leżeniu bez ruchu w oczekiwaniu nadejścia stada na strzał, udaje mi się w końcu wziąć na cel pięknego rogacza i na 200 kroków palnąć do niego. Z hukiem strzału stado wraz z kozłem zniknęło mi w tumanie kurzawy, podjętej przez spłoszone stado.

Gdy wiatr uniósł gęste pyły, stada już nie było na ca-

ALBERT MNISZEK

# Legendy i prawda o rozbójniku huculskim Doboszu

Dokończenie

Na tej glebie zasianej ziarnem bezkarnej zbrodni, wybujał w pierwszej połowie XVIII-go wieku straszliwy kwiat. Jest nim Aleksy Dobosz z Peczeniżyna. Tak on się nazywał po ojcu, gdyż ten służył był w wojsku polskiem w roli dobosza. W roku 1739, widzimy go herszetem dobranej bandy opryszków, siejącej śmierć i zniszczenie wokoło; rabuje kupców, przeważnie Ormian. dążących ówczesnym szlakiem handlowym, jakim była dolina Prutu między Węgrami a Polską, napada na futory i dworki szlacheckie, ba przedsiębierze nawet wyprawy łupieskie hen daleko poza Huculszczyznę. Jako jej bohater, przechodzi do potomności, jest do dzisiaj w całych Karpatach wschodnich postacią legendarną. Śpiewają o nim pastuszki pasące owce od źródeł Prutu po źródła Dniestru, matki straszą nim dzieci w kołyskach. Myśliwy lub turysta wędrujący po Karpatach, spotyka się nieraz z tem głośnem imieniem. Pod Turką na jakimś strumieniu leży do dziś dnia kłoda, jako kładka, część dębu olbrzymiego, w którego wydrążeniu ukrywał się przed władzą jakiś czas Dobosz. W Bieszczadach skolskich, między Rożanką a Sławką najdłuższy i najwyższy tam grzbiet górski zwie się Doboszówką, a blisko jego szczytu jest obszerna, naturalna grota ze źródłem w jej wnętrzu bijącem, licznemi pokryta napisami, tak zwana „Pisana Krynica“ z której Dobosz czerpał wodę, zapędziwszy się w te strony*). W Gorganach nad Zielenicą mamy znów olbrzymi nagi garb Doboszanki, na Beskidzie huculskim nad Kosmaczem stoi Doboszowa góra. Do każdej z tych przyłącza ludność mnóstwo interesujących podań o tym sławnym z przed dwustu prawie laty rozbójniku.

Pieśni ludowe, tak na Huculszczyźnie, jak i w Bieszczadach, jak również i podania przekazywane z pokolenia na pokolenie, zanadto go, zdaje się, idealizują. Ubierają go w płaszcz rycerskości i szlachetności, nie był nigdy mordercą, a raz tylko popełnił okrucieństwo z niewiadomego nam dzisiaj powodu. W Borszczowej nad Prutem mieszkał ziemianin nazwiskiem Szeryna. Dobosz na czele swej bandy go napada, siekierą na progu głowę mu ściąć każe, a żonie jego będącej w ciąży to samo własnoręcznie czyni.

*) Dr. Fryderyk Pappée: Skole i Tucholszczyzna. Lwów 1891.

łym horyzoncie, leżał tylko mój koziołek, leżał z zadartemi w górę nóżkami, jak stół przewrócony. Byłem zachwycony pięknością i zgrabnością tej antylopy, o ślicznej główce i jeszcze piękniejszych, kręconych jak korkociąg czarnych różkach. W dalszej ku Merwowi drodze, zabiłem jeszcze jedną z tego gatunku antylop sztukę, lecz ta zdobycz więcej mi zrobiła przykrości, niż uciechy, gdyż zabiłem młodą jeszcze zupełnie kózkę, a taki czyn uważałem zawsze za występek przeciw etyce myśliwskiej.

Trzymając się w mej dalszej drodze do Merwu bliskości plantu kolei, nie natrafiałem na większą ilość zwierzyny, a to, co pod lufę mi nadlatywało, lub nadbiegało, nie przepuszczałem bez strzału. Kerbelaj i najęty w dalszej drodze młody Achmetka, do dozoru mego wierzchowca i osiołków, zapewniali mię o wielkiej ilości ptactwa i zwierza w okolicy Murghabu.

O wschodzie słońca 16 września stanąłem w jednym z karawanserajów na bazarze w Merwie. Już na samym wstępie do tej mieściny, o czysto azjatyckiej fizjognomji, mogłem dostatecznie się przekonać o tej masie różnego zwierza, jaka zamieszkuje te dzikie okolice merwskiego okręgu. Przybysza z dalekich stron nietylko zadziwić może, lecz nawet przerazić go musi ta masa skór przeróżnych, leżących o piętrowej wysokości w długich jarusach pod gołem niebem, a oczekujących na przybycie kupców z Baku, Buhary, Teheranu, czy też Heratu afgańskiego. Handlarz merwski nabywa surowy towar od łowców za śmieszne wprost wynagrodzenie, a sprzedaje go przyjezdnym kupcom z wysokim zyskiem. Widziałem tam skóry rysi, kotów, barsów, panter i tygrysów, z których jedną tygrysią pokazywano jako niezwykle wielką i piękną, mierzącą z ogonem 5 arszynów, zaś skórę pantery 3½arszyna, z czego sam ogon trzecią część całej długości zajmował.

Nie czekałem długo na osobiste przekonanie się o tej przerażającej masie szakali, ilości skór których, niemal mnie przestraszyły. Zaledwie słońce schyliło się ku zachodowi, gdy cała okolica podmiejska zawyła jednym płaczliwym, podziemnym jękiem, wyłażących ze swych smrodliwych nor tych czworonożnych plugawców. Zdawało się, iż nie było zakątka, obrywu, szczeliny, dziury, krzewu lub kępy czy oczeretu, skądby nie wychodził jęk tych niechlujnych zwierząt. A gdy niekiedy na chwilę ta piekielna wrzawa przycichnie, dość jest krzyknąć, lub głośniej kaszlnąć, by cała okolica zabrzmiała nowem larum, jeszcze wrzaskliwszem.

Miałem w mem otoczeniu owego młokosa Achmetkę, wesołego Pekinczyka, upasjonowanego amatora drażnienia szakali i doprowadzania ich do wściekłej nieraz orgji. Gdyśmy powracali późną nocą z dalszej wycieczki w okolice Merwu, Achmet zanucił jakąś pieśń nosową, lecz zaledwie otworzył usta, gdy go zagłuszyła wrzawa tych nocnych natrętów. Wszędzie ich tu pełno, więcej jednak spotyka się ich na nizinach, niż w górzystych i falistych okolicach piaszczystych.

Drugim najliczniejszym przedstawicielem turkiestańskiej fauny, jest dzik, zamieszkujący knieje błotnistych oczeretów. Świń nie strzela krajowiec i jemu też można zawdzięczać ich obfitość i szerokie rozprzestrzenienie. Dopiero z napływem europejskich myśliwych i osiedleniem się licznych rodzin z głębi Rosji,

---

Nie wydaje się nam prawdopodobnem, by groźny watażka był idealistą i przebierał w środkach, gdy mu chodziło o zdobycie cennego łupu. Nie był lepszy ani gorszy od innych. Następujące słowa znanej piosenki dzisiaj jeszcze w Beskidzie Huculskim potwierdzają nasze przypuszczenie:

A szczo u ti Czornohori, za woroni koni,
Chodym brate w hajdamachy, czujem za czerwoni*).
Oj i czujem za czerwoni w pana mołodoho.
Ta jakby ich ta użyty z dworu hołownoho?!
Oj ja znaju pane braty jakby ich użyty!
Mołodoho toho pana do stiny prybyty,
Oj prybyty ruki, nohy, szcze meży pleczyma,
Szoby se na nas dywyw czornymi oczyma.

W roku 1741 widzimy go już na czele bandy opryszków ze stu mołojców złożonej. W tymże roku napada na dwór Jędrzeja Karpińskiego (ojca poety Franciszka) w Hołoskowie w powiecie kołomyjskim. Karpiński w obawie o życie wymyka się z domu, zostawiając żonę w ciąży z poleceniem, by Dobosza jaknajgrzeczniej przyjęto. Herszt ujęty widocznie dobrem przyjęciem nikomu nic złego nie czyni, prosi Rozalję Karpińską, by dziecię w tej chwili urodzone jego imieniem ochrzciła (a był to właśnie przyszły poeta Franciszek, polecenia więc tego nie usłuchano), a piastunce daje trzy czerwone złote.

*) Czerwone złote.

Głośną była jego wyprawa na możny dom Potockich (nie wiemy jednak, gdzie to było). Pobity tam przez nadwornych hajduków, ukryty w furze nawozu, ledwie uszedł z życiem i bardzo przetrzebioną bandą.

Słynny napad na Bolechów, na dwór możnego szlachcica, który jakoby Dobosz spalił i całą czeladź wymordował, niesłusznie mu imputują. Dokonał go w r. 1759 a więc w 14 lat po jego śmierci Iwan Bojko*).

Dobosz grasuje w całych Karpatach wschodnich i na podgórzu karpackiem do r. 1745, a więc przez lat sześć. Sieje zgrozę i zniszczenie, pobiera od swych nawet pobratymców ciężkie okupy w zbożu i bydle na wyżywienie swej bandy, której ostoją i bazą operacyjną są groty Czarnohory. W roku 1745 w Kosmaczu, ginie od kuli zazdrosnego o swą żonę polskiego Hucuła**) Stefana Dźwinki, w której się kochał, a która go z namowy męża haniebnie w śmiertelną pułapkę zwabiła.

*) Dr. Fryderyk Pappée: Skole — Tucholszczyzna.

**) Odłam polskich Hucułów w dorzeczu górnego Prutu był jeszcze w początku ubiegłego wieku wcale liczny. Dzisiaj zamieszkują oni jeszcze dwie wsie Berezów i Szeszoty i władają poprawną polszczyzną. Dr. Mieczysław Orłowicz: Karpaty wschodnie, Lwów 1912.

nastąpiło w ostatnich latach masowe ich tępienie. Niepomiernie trzebi tu też wszelkiego zwierza straż pograniczna, zajmująca się tak myślistwem, jak handlem i wyprawą skór.

Z wielkich kotów występuje tu głównie bars (felis irbis), jak niemniej centkowana pantera (felis uncia), a nawet tygrys jest tu dość pospolitym. Nie różni on się niczem od swego sąsiedniego, indyjskiego pobratymca królewskiego. Jest również wielki, silny i odważny, a wspaniale piękny i jak tamten krwiożerczy i okrutny. Niemniej straszną bestją jest pantera. O ile ustępuje ona tygrysowi pod względem wielkości i siły, o tyle przewyższa go zwinnością, sprężystością, a przedewszystkiem krwiożerczością. Zawsze żądna mordu i krwi zdaje się nigdy nie być dość nasyconą, zawsze gotową do napadu na swą ofiarę tak dobrze w dzień, jak i nocą, z ukrycia na ziemi, jak i z zasadzki z wysokiego drzewa.

W czasie jesiennych wędrówek ptactwa i ich masowych przelotów z północy na południe, niema rzeki, jeziora, stawu, deszczowej kałuży i kunsztownych „aryków", by nie roiło się tam od dzikiego ptactwa: gęsi, żórawi, łabędzi, pelikanów, kaczek, nurów północnych, gogar, czapel i całej masy ruchliwych błotniaków. Nie tylko dnie całe nie milknie gwar ptasi w całej okolicy, lecz i wśród ciszy czarnej nocy, daje się słyszeć ośli ryk pelikana, skrzek wylękłej czapli, lub gęganie gęsi, oraz miły klengor ciągnących nad błotami sznurów żórawich. A gdy zaledwie wschodni rąbek nieba zarumieni się blaskiem wschodzącego słońca, całe przestrzenie rozbrzmiewają wrzaskiem i szumem miljonów skrzydeł prującego powietrze ptactwa w różnych kierunkach. Dość było mi przystanąć na krótką chwilę w ukryciu oczeretów, na przełęczy dwóch wodozbiorów, by nad mą głową nie przeciągnęło co chwilę stado kaczek, klucz gęsi lub sznur żórawi. Czasem przeleciał pelikan, nur, kormoran lub kilka łabędzi. Nie zdążył przebrzmieć jeszcze huk mego strzału, na który cała dolina odpowiedziała jednym przeraźliwym wrzaskiem, gdy całe stada wylękłego ptactwa pojawiają się w różnych kierunkach nademną.

Zdobycz ptactwa ułatwia tu ogromnie wysokie obramowanie jezior zaroślami i bujnemi oczeretami. Ileż to razy bez trudu i mozołu zszedłem tabuny kaczek i gęsi śpiących na wodach, lub stojąc w ukryciu czekałem, aż mi pod lufę podpłyną.

Nie powinno też dziwić nikogo, że przy tej masie ptactwa w czasie przelotów, myśliwy może osiągnąć bajeczne rezultaty, nie tracąc ani zbyt dużo czasu, ani nadużywając wysiłku wielkiego. Tylko w strzelaniu do maleńkich bekasów nie byłem nigdy mistrzem. Wierciłem zawsze więcej dziur w błocie, czem nie robiłem uszczerbku w ich rzeszach.

Po tygodniowym pobycie nad błotnistem porzeczem dolnego Murghabu, przesycony bezcelowym mordem niewinnego ptactwa, porzuciłem to Eldorado ptasie i pociągnąłem z mą maleńką karawaną ku górnemu Murghabowi, ku afgańskiej granicy, do jego rozwidlenia.

C. d. n.

---

O śmierci Dobosza żyją do dzisiaj wśród ludności huculskiej podania i pieśni.

Ponieważ Dobosza, jakoby żadna kula się nie imała, piękna Stefanowa na czułej raz schadzce wydarła z niego tajemnicę jego nietykalności. Przyznał się on jej, że zabić go może tylko srebrna kula, na której położyć trzeba 9 ziarn pszenicy, i którąby pop poświęcił, odmówiwszy nad nią 12 ewangelij. W kilka dni potem, zwabia do siebie Stefanowa Dobosza, a będący z nią w porozumieniu Stefan Dźwinka zabija go, strzeliwszy doń na progu swej chaty. Dobosz ciężko ranny pada na ręce towarzyszących mu kilku mołojców i każe im:

„Wynesit mia w Czornohoru,
Położyt mia na kołodu,
Bude zimnyj witer duty,
Bude mene hołoduty,
Naj sia Lachy ne zbytkujut
Moje tiło ne czwertujut!"

Dobosz miał być zaniesiony nie na Czarnohorę, lecz na najbliższą górę nad Kosmaczem i tam pochowany, a ta się odtąd nazywa Doboszową górą. Takim był koniec głośnego watażki.

Temu rodzajowi śmierci uwieńczonej aureolą romantyzmu zawdzięcza on prawdopodobnie swoją pośmiertną sławę. Nie dał się ująć władzom, nie oddał głowy pod topór kata, lecz zginął śmiercią zadaną mu z ręki rywala.

Od dwu niemal wieków śpiewają na jarmarkach w Peczeniżynie, Kosmaczu, Żabiu, Jaremczu i innych miejscowościach o sławie wielkiego opryszka d i d y huculskie, przegrywając na kobzach. Dziadów tych, ślepców bywało dawniej wiele a ich zawód śpiewacki wraz z ślepotą szedł z pokolenia na pokolenie. Ojcowie oślepiali synów, za ich dziecięctwa kierując ich w ten sposób na „didy". Dopiero w połowie ubiegłego stulecia barbarzyński ten proceder został przez władze stłumiony i zniknął z obyczajów huculskich.

Dzisiejsza huculszczyzna, ucywilizowana, wzięta w karby porządku społecznego przedstawia jednak zawsze typ od reszty ludu ruskiego odmienny i pełen własnej indywidualności. Barwny stary strój, którego hucuł nie porzucił, ukochanie fanatyczne gór, wśród których się urodził, wrodzone ukochanie piękna tak w pieśni, jak i w sztuce, stworzyły odrębny swoisty motyw. Kilimy, dywany, hafty huculskie, noszą w sobie cechy indywidualne do żadnych innych nie podobne i świadczą o wrodzonym smaku artystycznym tego dziwnego i tak pięknego ludu.

# Notatki bibljograficzne

**Kalendarz myśliwski na rok 1929. Pod redakcją Juljana Ejsmonda.** Str. 240. Rocznik ten, drugi z rzędu, przedstawia się bardzo okazale, tak pod względem formy, jak treści. Układ dzieli się na dwie części: Część I. zawiera rozprawy i artykuły o treści pouczającej, część II jest beletrystyczna.

Szczegółowy spis rzeczy: 1. Pieśń myśliwska (J. Ejsmond), 2. Calendarium i życie zwierzyny, 3. Czas polowania, 4. Wskazówki, dotyczące hodowli zwierzyny w poszczególnych miesiącach (W. Krawczyński), — 5. Sztuczna hodowla bażantów (P. Lazar), 6. Hodowla zajęcy, kuropatw i sarn w dzikim stanie (P. Lazar), 7. Statystyka zwierzyny w lasach państwowych (J. Ejsmond), 8. Prawo łowieckie, 9. Statut wzorowy spółki łowieckiej, 10. Rozporządzenie Ministra Rolnictwa, 11. O organizacji wielkich polowań (T. Metzig), 12. Pierwszy rok życia wyżła (W. Garczyński), 13. Regulamin popisów wyżłów dowodnych, 14. Porady przy strzelaniu (Cz. Lisowski), 15. Luneta na broni śrótowej (Wł. Słonczyński), 16. Konserwacja broni (Sz. Podolski), 17. Ogród zoologiczny w Warszawie (J. Ejsmond), 18. Ogród zoologiczny w Poznaniu (I.), 19. Bibljografja łowiecka w odrodzonej Polsce (J. Wł. Kobylański), 20. Piękny dublet (A. Rzewuski), 21. Z tajemnic Afryki (St. Zaborowski), 22. Serce zajęcze (J. Ejsmond), 23. Na wszelki wypadek (Wł. Janta Połczyński), 24. Polowanie na wilki (B. Świętorzecki), 25. Słoneczna pieśń (Wł. Korsak), 26. Batory w kniei zamechskiej (Wł. Gürtler), 27. O nim (Al. Janta Połczyński), 28. Auto — a łowy (Z. Kleszczyński), 29. Najlepsze pieski (M. Ejsmondowa), 30. O ciasnych trzewikach (S. Hiszpański), 31. Do moich synków (J. Ejsmond), 32. Myśliwskie abecadło, 33. Dziennik myśliwski, 34. Dział informacyjny, 35. Skorowidz firm według branż.

Wydawnictwo ozdobione jest całym szeregiem ilustracyj, na szczególniejszą zaś uwagę zasługują m a p y p o g l ą d o w e, przedstawiające rozmieszczenie zwierzyny w lasach państwowych, a mianowicie: łosi, jeleni, sarn, niedźwiedzi, dzików, wilków, rysi, żbików, głuszców, cietrzewi i bobrów. Mapy te, wraz z objaśnieniami (zob. wyżej artykuł 7) zasługują bezwarunkowo na osobne wydanie i rozpowszechnienie.

*W. Z.*

# Korespondencje

*Gnojnik, w listopadzie, 1928.*

Od ostatniej mej korespondencji stosunki łowieckie tutejszej okolicy nie zmieniły się wiele, a także stan zwierzyny łownej na przeważnej części terenów nie uległ poprawie. Jedynie w stosunku do kuropatw daje się zauważyć znaczną poprawę, przyczem można żywić nadzieję, że i nadal objaw ten postępować będzie pomyślnie, gdyż jako zwierzyna drobna nie przedstawia kuropatwa dla przeważnej części tutejszych „myśliwych" zbytnio ponętnego łupu, a także ze względu na to, iż epidemja, która te miłe kuraki przez parę lat srodze przetrzebiła, obecnie wygasła zupełnie.

Drugim pomyślnym objawem godnym zanotowania,

---

Wojna światowa jednak rozluźniła znów jego obyczaje. W pierwszych latach powojennych, dzięki masowo posiadanej i ukrywanej broni wojskowej rozwielmożniło się znów rozbójnictwo i kłusownictwo. Całe bandy hucułów ukrywały się po górach, wybijając w pień zwierzynę łowną, szczególnie jelenie, nadto napadając i rabując mieszkańców.

Hucuł, tak jak każdy góral, jest urodzonym myśliwym. W obcowaniu ciągłem z dziewiczą przyrodą wyrobiony zmysł spostrzegawczy i orjentacyjny, tudzież sokoli wzrok, pomagają mu w wysokim stopniu do zdobywania łupu myśliwskiego. Jako kłusownik zapalony, jest niebezpiecznym wrogiem zwierzyny, jako przewodnik nieocenionym dla myśliwego towarzyszem. Jego nieokiełznana żadnym więzem natura, nie daje mu wprost zrozumieć, że zwierz na wolności w dzikich górach żyjący, może być czyjąś własnością, że ktoś ma do niego wyłączne prawo. Jeleń, czy niedźwiedź, czy dzik nie należy według niego do nikogo. Jest tego, kto go upoluje. To też tępienie kłusownictwa w Karpatach jest bardzo trudnem i niebezpiecznem dla straży leśnej i właściciela rewiru łowieckiego zajęciem.

Dziś wraca znów tam porządek i poszanowanie prawa , tak duszy Hucuła niemiłe.

Szumią stare bory Czarnohory odwieczną pieśnią, szczyty jej nagie topią się w obłokach, Prut toczy swe srebrne nurty, Czeremosze syczą kaskadami. Barwna Huculszczyzna w starej, tej samej, zda się, tonąć pieśni, w bajce fantastycznej, strasznej, krwawej, a jednak pięknej, co minęła i już nie wróci!

Bo dzieje Huculszczyzny się kończą! Wskutek małżeństw zawieranych od wieków, prawie że wyłącznie między sobą, a więc z braku świeżej krwi, a jeszcze więcej wskutek strasznej choroby, dziesiątkującej ludność prawie od stu lat, dla której luźne obyczaje huculskie stworzyły podatne podłoże, degeneracja postępuje nieubłaganie.

Jodły czarnohorskie śpiewają Huculszczyźnie pieśń złowróżbną.



to znaczy ubytek kłusownictwa. Zwłaszcza dolina Dunajca odetchnęła obecnie, uwolniona od nadzwyczaj groźnego kłusownika, który ją trapił przez szereg lat, aż wreszcie za jakiś rabunek poważniejszy, dostał się na dłuższy pobyt do więzienia.

Co do zajęcy i sarn, to zwierzyna ta, w takich jak tutejsze warunkach, gdzie tereny łowieckie są wydzierżawione przeważnie przez osoby nie popierające racjonalnej gospodarki łowieckiej, skazane jest wprost na zagładę.

Pisałem już o tem parokrotnie dość obszernie. Najracjonalniej byłoby wogóle polowania na sarny na terenach tutejszych spółek łowieckich raz na zawsze zakazać. Gdyż jest to tutaj zwierzyna przechodnia, o którą nikt z dzierżawców się nie troszczy, a natomiast kto dopadnie, wybija. Mam tego dowód najlepszy u siebie, gdzie po wojnie nie zastałem nawet jednej sztuki; powiodło mi się jednak do roku ubiegłego dochować jedenastu sztuk sarn, oraz trzech rogaczy. Cóż, kiedy mimo bezwzględnego spokoju w lesie, podkarmiania w porze zimowej, oraz zakładania lizawek, sarny wychodziły na tereny obce, gdzie też padły wszystkie trzy rogacze, zaś co się stało z kozami nie trudno się domyśleć, zostało bowiem u mnie zaledwie dwie sztuki.

Co do ptactwa przelotnego, to nalot słonek obecną jesienią był bardzo słaby. Gęsi dzikie, których liczne klucze ciągnęły rokrocznie tędy na południe, w tym roku prawie zupełnie zignorowały naszą okolicę. Podobnie też przepiórki bardzo rzadko w lecie były spotykane. Jak zatem z powyższego widać, stosunki łowieckie tutaj nie przedstawiają się pomyślnie, a przytem niema widoku, (przynajmniej na bliską przyszłość) by warunki w jakich zwierzyna wegetuje, uległy zmianie na lepsze. Spodziewaliśmy się wprawdzie wiele po nowej ustawie łowieckiej; z chwilą jednak wejścia jej w życie, rozczarowaliśmy się poniekąd. Bo jakkolwiek nowe „Prawo Łowieckie" zawiera wiele dodatnich zarządzeń, to jednak nie jest wolne od wielu braków, które drogą nowelizacji, czy też dodatkowych rozporządzeń należałoby co rychlej usunąć, względnie uzupełnić. Ciekawem np. jest, dlaczego nowa ustawa ogranicza wpływ Władzy I-szej instancji, przy zatwierdzaniu umów dzierżawnych, a pozostawia to spółkom łowieckim, rekrutującym się przeważnie z chłopów, nie mających zwykle należytego pojęcia o ważności racjonalnej gospodarki łowieckiej. A także obecnie obowiązująca ustawa władze te pozbawia możności czasowego zamykania wykonywania prawa polowania, co sądzę, winno być raczej rozszerzone w tym kierunku, by mogło starostwo ewent. na wniosek delegatów ograniczać ilość polowań, lub nawet gdy zachodzi potrzeba, zabraniać niektórych sposobów ich wykonywania, („na pomyka") o czem dość obszernie pisałem w Nr. 11 „Łowca" z 1926 r. Następnie o tak ważnej kwestji, jak plombowanie zwierzyny przeznaczonej do handlu, o czem w Nr. 3 „Łowca" 1927 r. opisywał, oraz podawał bardzo prosty a znakomity sposób p. K. Strzemie, „Prawo łowieckie" widocznie zapomniało, a szkoda.

Nie mam zamiaru, ani widzę się kompetentnym do krytykowania nowej ustawy, — winno to być rzeczą więcej doświadczonych i mających pewien wpływ na te sprawy myśliwych, aby mając na oku jedynie dobro sprawy racjonalnego łowiectwa, dołożyć wszelkich starań, by nową ustawę lepiej do naszych warunków przystosować, — i tego od nich oczekujemy.

*T. Łysowski.*

## Z polowań w Wielkopolsce

Spędziłem jesień na „wywczasach letnich" w Wielkopolsce, bo nęciły mnie zaproszenia drogich przyjaciół, widoki uzbrojonej wałęsanki po polach i borach — no i chęć odszkodowania się, bo, gdy rodzina uciekła z miasta by w lipcu i sierpniu użyć świeżego powietrza, to ja wolałem pilnować mieszkania przed zakusami eksproprjatorów, których falangę powiększyli tego roku amnestjonowani profesjonali.

Listopad zapoczątkował odstrzał łań, dzików i lisów w rządowych rewirach. Zabawa i emocja wspaniała, wymagająca nie tylko kuli i śrutu (w niektórych miotach strzelano też do słonek i zająca) — ale i wytrawnego myśliwego, umiejącego się szybko orjentować, rozpoznawać, za właściwy cyngiel pociągnąć — no i czasem jeszcze szybciej chybić.

Zachwycony byłem polowaniami w rewirach Nadleśnictw: Gołąbki (P. Metzig), Podanin (P. Woszczyński), Durowo (P. Zell). Kto pragnie nabrać doświadczenia w wzorowo prowadzonych łowach, temu radzę przypatrzyć się organizacji polowania i sprawności służby leśnej w Gołąbkach, Plan z góry ułożony, nagonka wyćwiczona i chętna, nikt ne radzi, nie woła, nie łaje, w lesie cicho jak w świątyni. Podczas rozstawiania myśliwych czekają na skrzydłach leśnicy na rowerach, by ruszyć na czas nagonkę. Po skończeniu miotu nikt nie pyta, gdzie złożyć zwierzynę, którędy ma nagonka zachodzić etc., a myśliwych prowadzi, częściej podwozi się na następne stanowiska. Dopiero przy śniadaniu rozwiązują się języki, podniecane wytworem alkoholicznym, kalophonium przez leśników nazwanym. Wypoczynek krótki, bo i dzień nie długi, więc główne dyskusje i łacinę zostawia się na wieczór, który spędzamy w gościnnych progach Nadleśnictwa, gdzie Pani domu rywalizuje sztuką przyjęcia z mistrzowstwem swego męża w kniei.

Nie podaję ilości ubitej zwierzyny, bo w mej torbie myśliwskiej nie było miejsca na papier i ołówek — ale utkwiło mi na zawsze w pamięci, żeśmy się doskonale bawili i że rezultaty wszędzie były zadawalniające. Dziękując poszczególnym zacnym Gospodarzom za ich gościnność, wnoszę do św. Huberta podanie o protekcję, dotyczącą zaproszeń w przyszłości.

Podczas mego dłuższego pobytu w Próchnowie urządził w połowie listopada hr. Jerzy Potulicki „klaperkę" w lesie. Klaperka oznacza polowanie z nagonką na wszystko, co się pod lufę zabłąka. To polowanie było też wzorowo urządzone i prowadzone — nie z obawy przed kry-

tyką, lub by gości zadziwić, lecz dlatego, że P. Potulicki jest nietylko wytrawnym myśliwym, ale też swych kniei troskliwym gospodarzem. W czasie od godz. 10-tej do 16-tej, z którego śniadanie pół godziny uszczknęło, zdołano wziąć 14 miotów. Rezultat był niespodziewanie piękny, gdyż na rozkładzie wyliczono: 5 dzików (szósty ciężko raniony przeszedł granicę), 3 lisy, 103 zające, 10 królików, 1 słonka i 1 kuropatwa. Sarn widziano bardzo dużo, lecz rogaczy nie strzelano z powodu dysproporcji płci (5—6 kóz wypada tam na jednego sułtana), zaś o strzelanie do starych a niepłodnych kóz nie można było prosić gości ze względu na możliwe pomyłki. Następnego dnia powiększono ilość trofei o 19 kogutów bażancich, ustrzelonych w jednogodzinnej ławie na polach w pobliżu pałacu.

Staropolskie przysłowie: „Jak się gości ceni, tak się ich przyjmuje" uświadomiło nas, iż uprzejmej gościnności pełen gospodarz bardzo cenił swoich gości, gdyż dopiero nad ranem opuściła salony rozbawiona brać myśliwska. Z podzięką za miłe chwile łączę też i radość, że rozwinęła Diana swe opiekuńcze skrzydła nad knieją Ordynacji Próchnowa.

*Franciszek Latinik*
em. gen.

**Z Łopatyna**

Położenie nizinne, najwyższe wzniesienia 200—232 m nad poziom, gniazda nader urodzajnej gleby napływowej, miejsca wzniesione, wypłukany i namulony falami wód ustępujących piasek, podglebie gliniaste, wszędzie przepuszczalne, spoczywające na drobnej opoce, miejscami podnoszące się tuż pod warstwę wierzchnią, i tu występują całemi płatami urodzajne rumosze. Porost traw i chwastów bujny, drzewostany w trzech czwartych części mieszane. Sosna dorastająca niebywałych rozmiarów, podobnie i dąb — niestety! obecnie tylko miejsca po tych drzewostanach zostały — samowolne i dozwolone korczunki — (broszura: „Kilka uwag o dawnej Łopatyńszczyźnie", wydana przez Polskie Towarzystwo Leśne, 1928) — podrosty grabowe i wszelkich innych gatunków liściastych, wklęsłości i zaciszne schroniska, a wszystkie te uroczyska przepływa rzeka Styr, z licznemi, zawsze w wodę obfitującemi dopływami.

Ponad Styr i dopływy ciągną się szerokie smugi tak niegdyś lasami otoczone. Wybitne dawne puszcze i knieje, gdzie gruby i rzadki zwierz przebywał, o czem nazwy miejscowości: Turze, Wowcze, Niedźwiedzie najdobitniej świadczą. Słowem, całe nizinne dorzecze Bugu i Styru, począwszy od podnóża „Woroniaków" koło Podhorzec i Oleska, pokryte było lasami i bagnami rojącemi się od wszelkiego rodzaju zwierzyny. Mnóstwo też podań o polowaniach odbywanych tu przez króla Jana III. krąży w okolicy.

Dość wspomnieć, że przed laty jeszcze 30-tu, najbliższa tylko okolica Łopatyna i Szczurowic — (miasto królewskie z czasów króla Jana Kazimierza) — posiadała około 100.000 morgów lasu. Dziś i połowa lasów tych nie pozostała, a lasy łopatyńskie skurczyły się od tego czasu do ¼ części zaledwie. O grubym zwierzu słuch zaginął, a były tu i jelenie, w dowód czego w roku 1912 wyorano na korczunku w rew. Rohizno, zrzucony róg jeleni o 7 końcach, dzik coraz rzadszy i niepodobny do dzika pewnego siebie w rodzinnej kniei, wystraszony i zdenerwowany, jakby go tutaj zgraja chłopskich kundli zagnała. Sarny, których tutaj trochę się pojawiło, nie można nazwać zwierzyną stałą, przenosi się bowiem przepłaszana ciągle z miejsca na miejsce, a zając, chociażby się zdawało, że po wykarczowaniu lasów powinien gęsto zamieszkiwać świeżo na dziewiczej glebie powstałe pola, koniczyska, chłopskie remizki i łąki, staje się coraz to rzadszym. Cietrzew, który nader mile urozmaicał młode kultury i łąki leśne, porosłe tu i ówdzie brzozą i kępami łoziny, znikł zupełnie — a żóraw często na łąkach nad Styrem przebywający, unika obecnie miejsc dawnego pobytu i odpoczynku, tak, że na osobnika, który miejsca te znał z przed laty 30-tu, ta straszna martwota i niesamowita cisza czyni ogromnie przygnębiające wrażenie.

I zdawałoby się, że tutaj właśnie już nie dla grubszej, lecz drobnej zwierzyny i ptactwa łownego miejsca wymarzone i okolica w zwierzostan drobniejszy obfitować musi. Tak jednak nie jest, z powodów, których opisanie na później zostawiam.

Część dawnej sławnej Łopatyńszczyzny, lasy Szczurowieckie, dawny obszar 7000 m., obecnie nie wykarczowanych jeszcze ponad 2000 m. przepięknych młodzików sosnowych, które gminy dawnego Obszaru dworskiego, za poparciem Inspektoratu leśnego przy Wydz. Rady Powiatowej w Brodach zakupiły, wydzierżawiają polowanie przygodnym myśliwym, dziwić się więc nie można, że stan zwierzyny jest więcej niż nad wszelki wyraz marny. Całemi dniami można deptać po polach a zając z pod nóg nie ruszy,— w lasach, względnie młodnikach przez gminy zakupionych, całe lato bydło się wypasa a w zimie suche gałęzie kulkami obłamuje. — Jednem słowem, las tak lato jak zima pełny ludzi, ciągłe hałasy i krzyki i trudno pomyśleć, gdzie zwierzyna schronićby się mogła.

A przecież wysoki poziom kultury łowieckiej w Czechach i w Morawji, stanowi pewnego rodzaju bogactwo w kraju, o czem niejednokrotnie pisano i podobnie jak „staranność o las, jest starannością o życie, bo kraj bez lasu jest krajem bez życia" — głuche lasy, łąki i pola i najbujniej przez przyrodę w florę wyposażone, zakątek jakiejś okolicy uczynią martwym o niesamowitem, smutnem wrażeniu!

Przez trzy lata z rzędu kołatałem u Władz o zamknięcie polowania na zające, ale słuszne moje żądania, nie znalazły posłuchu. Dziś apeluję znowu do Szanownego Wydziału, by zechciał energicznie zarządać zamknięcia polowania na zające, we wszystkich gminach Łopatyńskiego powiatu sądowego (południowa część polit. powiatu Radziechowskiego) od dni najbliższych i przez

sezon następny co najmniej, t. j. 1930 r., gdyż inaczej zając stanie się tu rzadkością.

Tu prosi się o zaznaczenie fakt następujący: Na podstawie długoletniego doświadczenia, stwierdzam w najbardziej stanowczej formie, że zamknięcie polowania odniesie pożądany skutek tylko wtedy, jeżeli kłusownictwo a osobliwie wnykarstwo, będzie daleko ostrzej niż do dziś karane. Specjalnie siłkarz, który stokroć boleśniejsze straty łowiectwu przynosi niż kłusownik i nie można go nawet do psa cicho goniącego porównać, który — wiadomo — tyle utrapień w chronionych zwierzostanach straży łowieckiej przynosi.

W ostatnich dniach, polowano na jednym z najlepszych terenów łowieckich — dawny przepiękny teren na zające, pola urodzajne krzaczki i laski (à la remizy) włościańskie, łączki przypierające z dwu stron do młodników — dzień cichy pogodny po kilkudniowej stałej pogodzie, po śniegu i ubito w 5 strzelb 1 zająca, ale co najważniejsza: drugiego zająca nie widziano!

Inne tereny gminne buszuje się codziennie, a rezultat: żaden, chyba z wieczornych zasiadek, sądząc po strzałach wieczorami.

Korzystając z przydzielonego mi nadzoru technicznego nad lasami gminnemi, poleciłem tej jesieni przydzielonej mi do dyspozycji straży lasowej, by w pewnych znanych miejscach, wieczorami wypatrywała i liczyła wymykające zające z lasu na obsiane oziminą korczunki a rezultat z kilkutygodniowej obserwacji, był ogromnie nikły, tak że np. na kilometrowej długości linji tworzącej granicę młodnika z korczunkiem, wyskakiwało wieczorem 1 najwyżej 2 zające, podczas gdy w r. 1916, przed ofensywą Brusiłowa na Styr, widziałem tam i liczyłem 18—30 zajęcy, a po ustąpieniu frontu z nad Styru w r. 1917 w młodnikach tych z trzema chłopakami i 1 gajowym na linji z niektórych oddziałów — (1 oddział 25—28 morgów) — wyganiano 15, 20 i więcej sztuk, a pod lufę mnie i gajowemu wypadało po kilka zajęcy, tak że polując kilka razy przez zimę, zawsze tylko z jednym najwyżej dwoma gajowymi na linji i 3—5 chłopakami w miot, ubijałem potrzebną mi ilość zajęcy a ubić można było 20—30 sztuk przez kilka godzin!

Sarn po ustąpieniu frontu było bardzo mało. Dzik w kilka miesięcy przybył w dawne leże i w tych samych młodnikach w rew. Rohizno w r. 1922, ubiliśmy przed psem marszałka p. I. Gorayskiego z nim i synem jego w niespełna godzinę 6 dzików, 3—5 letnich, a w tem jednego kapitalnego odyńca.

Niedawne to czasy, ale wtedy podczas „bezkrólewia", polowanie należało w lasach i części terenów gminnych do dworu. Dziś po ustaleniu stosunków wzgl. warunków bytowania, po wydaniu srogiej ustawy łow. po kreowaniu stałych posterunków Policji Państwowej w lesie cisza zupełna, trop zwierzyny rzadko widoczny i tylko sojka samotna przerażona smutnym szumem młodników, skrzecząc coraz to innym głosem, przeleci, bo wiewiórki nawet nie ma!

Sideł co nie miara! I zimy zeszłej z jednym gajowym przechodząc w poprzek przez młodnik 28 morgowy, oddział zwany dawniej „szpitalem" ponieważ wszystkie postrzałki tam zalegały — podjąłem idąc w linji względnie prostej tylko 90 s z t u k s i d e ł!

W końcu niech mi wolno będzie przytoczyć wspomnienie z lepszych czasów, starego gajowego byłych tutejszych lasów, który przy sposobności jakiejś czynności gospodarczej w młodniku obecnie gminnym dawnego uroczyska „Wowcze" zapytał mnie: „Czy pan pamięta kiedyto obtałapani błotem po pas polowaliśmy ponad Styr na „michałki" (dubelt suto oblany w późnej jesieni)? A stary Karo miał robotę, bo aportował po 30 sztuk!?

A rozkład w zimie 1906 r. dzików 9, 1 lis, 3 rogacze, 7 zajęcy i 1 puhacz? Polowaliśmy również na „Wowczu" w 3 wzgl. 4 strzelby od 12 w południe do 4 popołudniu, ś. p. hr. Poletyło, — podpisany, — łowczy i kilku strzałami pomógł strzelać.

Starodrzew sosnowy z gęstem podszyciem, — 30 nagonki i 2 gajowych w miot flanki sznurami z płatkami. Wtedyto — mówi dalej Smal — w jesieni już liść „p a c h n i a ł" dzikiem, w grubym lesie słonka zerwała i t. p. dobre to były czasy i „koby choć tak jeden raz pered smerteju"!

I prawda! Łąki nad Styrem, 700 morgowa przestrzeń, bogata w oparzeliska, porosła miejscami kępami łoziny, łącząca się po prawej stronie Styru z jeszcze większym obszarem łąk przypierających do lasów brodzkich moczyska „Bołduny" — gdzie polując na kaczki, często można było użyć trzylufka do dzika, lub stale tam przebywającego rogacza — a w roku 1905 brodząc w zimie po śniegu około obmarzłych oparzelisk w lecie niedostępnych ze Smalem za kaczorami uszły nam z przed nosa trzy wilki.

Bagna te przez lasy dóbr Grzymałówka — (dawno, tak obszar dworski jak i piękne lasy zniknęły z powierzchni) — łączyły się z nieprzerwanemi bagnami pod Beresteczkiem w których Kozacy za Chmielniszczyzny klęskę ponieśli.

Ale sprawozdanie delegackie zaczyna odbiegać od poleconego przez Wydział M. T. Ł. tematu.

Cóż ja jednak temu winien jestem, że reminiscencje same snują się z pod pióra i o ile łamy „Łowca" okażą się gościnnemi, może przez zimę podzielę się z czytelnikami „Łowca" — może nie wszyscy jeszcze starzy weterani kultu św. Huberta powiesili flintę na kołku i wspomnienia lepszych czasów i przypomną nie jedno warte uwiecznienia zdarzenie.

Warte wspomnienia były to czasy, kiedy troska w domu zostawała a ze mną do lasu szedł ten drugi sobowtór. Każda pora roku miała swój właściwy swoisty urok — las osobliwie w cichą spokojną noc szumiał jak morze i z czasów tych tylko tyle pamiętam, że z lasu wracałem zawsze bogatszy o nowe doświadczenie.

*Antoni Biberstein-Płoński.*

## Kilka słów z kniei

W dniach 10-tego i 11-tego grudnia, odbyły się łowy w kniei Błudnickiej p. Marjana Jaroszyńskiego. Wielki talent organizatorski gospodarza, tu tylko w jego zrozumieniu zawiódł, gdyż ubito dzików 15, a gdyby nie huczka i wielkie obszary, mogło paść prawie że dwa razy tyle. Tropienie, sposób pędzenia i robota psów, p. Henryka Preka całkiem pierwszorzędna, zdziałały, że polowanie to było wielką biesiadą myśliwską. O reszcie biesiady w łamach Łowca zamilczę, mimo, że górnolotnie wiele, możnaby o niej pisać.

Dni 12, 13 i 14 grudnia, spędziło doborowe grono myśliwych na dorocznem, wielkiem polowaniu w Wysuczce, u ordynata Cyryla-Czarkowskiego-Golejewskiego. Święty Hubert nie był łaskaw na ordynatów. Typowo polska aura. W pierwszym dniu do południa mgła, że sąsiada się nie dopatrzył, od południa przepiękne słońce, które umożliwiło wcielenie do rozkładu 30 zajęcy, 4 lisy i 8 kogutów bażancich. Drugi dzień najlepszy w kniei, ulewny deszcz, dał zamiast dwustu kilkudziesięciu, 92 zające; trzeci dzień, zadymka śnieżna z wiatrem, mioty dzicze, u dzików huczka, w ciągłym ruchu, nieuchwytne i tylko dzięki bardzo wysokiemu poziomowi wychowania straży, przyłapano dziki w dwóch miotach i wycinek i dwa warchlaki ozdobiły ogólny rozkład 239 zajęcy, 4 lisów, 8 bażantów i jednej kani. Nie mogę zamilczeć wprost niebywałego wychowania straży leśnej i tejże podległej pogonki. W trzech miotach dziczych 150 chłopa, z wyjątkiem postukiwania po krzakach, pary z ust nie puściło, a straż leśna nie potrzebowała nawoływać. Stojąc na skrzydle, pytałem dwóch naganiaczy zbierających zwierzynę, czy dziki przeszły i czy się gon zaczął, obaj wybitnemi znakami rąk i głowy dali mi odpowiedź — lecz głosu z siebie nie wydali. Tak było wykonane nakazane milczenie.

15-tego polowano w części ordynacji Skały hr. Agenora Gołuchowskiego i tu św. Hubert się pogniewał, dziki przechodzące z miotu do miotu po otropieniu; brać myśliwska w nadziei dzików postponująca strzałem do zajęcy, tak, że rezultat tych pięknie założonych łowów był jedynie 2 lisy i kilkanaście zajęcy.

W dniu 29-ego grudnia, polowaliśmy w pierwszorzędnej kniei Mieczysława hr. Chodkiewicza w Młynowie. Bardzo subtelna organizacja, z powodu mijających śrutów objektu przeznaczonego do odstrzału, dała na rozkładzie jedynie 2 lisy i 60 zajęcy. Przyczyną tego było w znacznej części, że w pierwszych kilku miotach branych na dziki, do drobnej zwierzyny nie strzelano, a dziki, mimo otropienia, wolały w ucieczce wybrać nieobsadzone skrzydła. W innych miotach kanonada przypominająca karabiny maszynowe, gospodarza przy zbiórce zwierzyny zadowolić nie mogła.

31-go w małem gronie polowanie na dziki z fenomenalnie pracującym „Dunajem“. Jego kilkogodzinna ciężka praca nie dała dwóch w trudnych warunkach strzelanych dzików. Tu podnieść muszę udział młodziutkiej córki gospodarza myśliwego, która z dziecięcym zapałem i wytrawnem zachowaniem, wzbudzała zaufanie jako prawowierny towarzysz myśliwy.

Gościnność, humor, dobór grona, był taki, że marne pióro na określenie tegoż, dość wymownie niema odwagi.

A teraz słów parę o stanie zwierzyny. W Wysuczce i Szuparce bezwzględnie zajęcy mniej. Temu lat trzy obserwowałem groźne początki motylicy u zajęcy w dobrach hr. Baworowskich w Giermakowszczyźnie, później w Sapohowie hr. Koziebrodzkich i obawiam się, że ta groźna zaraza posuwa się ku północy. W okolicach Dubna gdzie leży Młynów, zauważono rzekomo lues u zajęcy. Świnie swojskie puszczone w lasy na żołędzie wywołały niestety w tychże stronach zarazę świńską u dzików, której to uległy osobniki młode, tak, że w rewirach umiejętnej pieczy poddanych, liczne sztuki nieżywe podniesiono i daje się zauważyć zupełny brak warchlaków, które, jako mniej odporne, uległy chorobie, a tylko silniejsze starsze sztuki, tęże zwalczyły.

Oby takich hodowców, myśliwych gospodarzy w kniei i domu jak wyż wymienieni, było w naszej Polsce jaknajwięcej.

*W. G. S.*

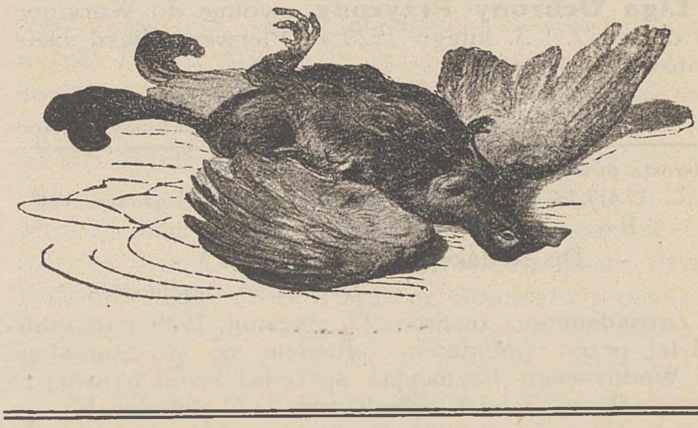
*Lwów, w styczniu 1929.*

Przy tegorocznej mizerji zajęczej, miłą niespodzianką dla zaproszonych było polowanie kociołkowe w dniu 29 grudnia 1928 w Batiatyczach, u Pana Aleksandra Papary.

W 22 strzelb, w 7-miu kotłach ubito 81 zajęcy. Polowanie było prowadzone nader składnie, a dla uczestników, podwożonych w dużych kołach sankami, wygodnie.

O gościnnem, staropolskiem przyjęciu nie rozpisuję się, gdyż są zdania, że to do „Łowca“ nie należy, dziękuję jednak imieniem własnem i reszty uczestników, za miłe chwile zacnym Gospodarstwu, na których apel w przyszłym sezonie, da Bóg gremialnie się stawimy.

*A. S.*



# Sprawy Towarzystwa

## Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

### Zaproszenie na Ogólne Zebranie Członków

Z powodu odroczenia poprzedniego zebrania zwołujemy niniejszem

OGÓLNE ZEBRANIE CZŁONKÓW

na środę dnia 6 (szóstego) lutego br. o godzinie 6-tej wieczór w sali Towarzystwa Strzeleckiego w Krakowie ul. Lubicz 16.

*Porządek dzienny Zebrania:* 1. Zagajenie. 2. Odczytanie protokołu z ostatniego Walnego Zgromadzenia. 3. Sprawozdanie z czynności i zamknięcia rachunków za r. 1927 i 1928. 4. Sprawozdanie Komisji kontrolującej oraz wniosek o udzielenie Wydziałowi absolutorjum. 5. *a)* Sprawa formalnego rozpoczęcia działalności Oddziału M. T. Ł. w Krakowie; *b)* Wybór Prezydjum, całego Wydziału i Komisji rewizyjnej Oddziału. 6. Wnioski i interpelacje.

Na powyższe Ogólne Zebranie zapraszamy do obrad i głosowania wszystkich obecnych członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zamieszkałych na terytorjym Województwa krakowskiego, t. j. tych, którzy należeli do byłego Towarzystwa Łowieckiego Zachodnio-Małopolskiego, oraz tych, którzy nie byli jego członkami.

Ze względu na ważność spraw i wybory całego Zarządu pożądanym jest liczny udział w Ogólnem Zebraniu, o który też wszystkich pomienionych PP. Członków prosimy.

*Kraków, dnia 2. stycznia 1929.*

Za Wydział Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

*Stiller* em. gen. dyw. — Prezes
*Morawetz* — Sekretarz

*Ps.* Przypominamy opłatę wkładek członkowskich i dołączamy w tym celu czeki P. K. O. Przypadające do uiszczenia kwoty wraz z ewent. zaległościami notujemy na czekach. Z uwagi na koniec roku nieodzownem jest bezzwłoczne uregulowanie zaległości dla prawidłowego zamknięcia rachunków. Prosimy także Członków krakowskich przekazać opłaty przez P. K. O.

---

**Liga Ochrony Przyrody** zwołuje do Warszawy w dniach 2. i 3. lutego 1929 r. Pierwszy Zjazd Delegatów

*Prof. Dr. J. Mozorewicz*
Prezes Zarządu Głównego Ligi Ochrony Przyrody

---

Starosta pow. w Wadowicach
L. 17.417/28. Wadowice, dnia 27. grudnia 1928 r.
Hey

Do Redakcji pisma „Łowiec”
we Lwowie, ul. Ossolińskich 11.

Zawiadamiam, że dnia 22. stycznia 1929 r. o godz. 11-tej przed południem odbędzie się w Starostwie w Wadowicach licytacyjna sprzedaż broni uznanej za przepadłą w ilości 6 dubeltówek i 24 pojedynek.

---

KAZIMIERZ Hr. WODZICKI

## WSPOMNIENIA Z ŻYCIA ŁOWIECKIEGO

**Wydane nakładem M. T. Ł. na pamiątkę 50-cio letniej rocznicy istnienia „Łowca”**

Do nabycia, póki zapas starczy, w biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich l. 11 III. p. po cenie do połowy zniżonej t. j. **po 3 zł. 50 gr.** z doliczeniem 90 gr. za przesyłkę poleconą a 1 zł 40 za zalicz.

Zwracamy uwagę Szan. P. T. Członków, że wobec nadzwyczajnego odbioru jakim się cieszy to wydawnictwo, **nakład jest na wyczerpaniu!**

**BIURO M. T. Ł.**

---

## Z WYDAWNICTW

ŁOWIEC POLSKI Nr. 1 1929 zawiera: Wł. Janta-Połczyński: Jak powstało Wielkopolskie osiedle bobrowe. — Michał Rymkiewicz: Na wilki. — Fr. Latinik: Z polowań w Wielkopolsce. — Janusz Domaniewski: Przegląd naszych ptaków drapieżnych. — Emil Karney: Jamnik i Foxterrier. Ich wychowanie i układanie dla różnych celów myśliwskich. — Wł. Słończyński: Technika strzelecka praktycznego myśliwego. — Józef Władysław Kobylański: Z literatury łowieckiej. — Z Centr. Związku Polskich Stow. Łowieckich. — Międzynarodowe Tow. ochrony żubra. — O.: Płockie Tow. Racjonalnego Polowania. — Wojsk. Kółko Myśl. w Kraśniku. — K. P.: Jak tępić wrony. — Z.: Słonie nad błękitnym Nilem. — O ochronę Puszczy Białowieskiej. — Bibljografja łowiecka. — Zawody strzeleckie. — Odpowiedzi Redakcji. — Rozmaitości.



---



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32